Wydanie poranne

Przedpłata

na „Głos Narodu“ wynosi w Krakowie: miesięcznie kor. 2—. Za odnoszenie do mieszkania dopłaca się 40 hal. miesięcznie.

Adres Redakcji i Administracji: róg ul. św. Krzyża Mikołajskiej l. 7.

Telefon Nr. 190.

GŁOS NARODU

DZIENNIK POLITYCZNY, ZAŁOŻONY W ROKU 1893 PRZEZ JÓZEFA ROGOSZA.

REDAKTOR NACZELNY: Dr. ANTONI BEAUPRE.

Wydanie poranne

Przedpłata

na „Głos Narodu“ wynosi na prowincji: miesięcznie kor. 2·70 W państwie niemieckiem kwartalnie: 10 koron. W innych państwach kwartalnie koron 12·—.

Numer pojedynczy zwykły 12 hal
Numer niedzielny ilustrowany 16 h.

Nr. 11 **Kraków, Poniedziałek dnia 11 Stycznia 1904.** **Rok XII.**

Fermenty miejskie.

Ostatnie posiedzenie Rady, wyjaśniło cokolwiek sprawę zakupna tramwaju elektrycznego na rzecz gminy. Okazało się najpierw, że kontrakt z towarzystwem zawarty, jest dla gminy bardzo niekorzystny — i że dyrekcja tramwaju chce tę sytuację wyzyskać. Dowodzi to w każdym razie, że interesy miasta były źle strzeżone i że trzeba będzie koszta tego niedbalstwa zapłacić. Jednakże sądzimy, że zarząd kolei elektrycznej bardzo źle robi, wywołując wojnę z gminą i stawiając warunki niemożliwe do przyjęcia. Chyba żartem można żądać spłacenia całego nominalnego kapitału akcyjnego, który wcale nie został spłacony. Nawet ofiarowane przez gminę 75 prc. stanowi wygórowaną cenę! Jakież będą skutki? Oto miasto wymusi ustępstwo za pomocą szykan, a ma do tego mnóstwo środków i sposobów; Choćby np. podatek od biletów, który zdwoi ich cenę i odstręczy publiczność. Wysnuje się stąd tylko mnóstwo procesów, które zawikłają wzajemny stosunek i powiększą zamieszanie. W każdym razie akcjonarjusze tramwaju powinniby także zabrać głos i wyrazić swoje zdanie.

* * *

Podczas dyskusji tramwajowej, wiele oczu zwracało się w stronę dra Rothweina... Ten cichy adwokat, odznacza się rzadką skromnością. Nie wyraził swojej opinji o całej sprawie, a jednak on chyba zna ją najlepiej... Dr Rothwein jest głównym autorem kontraktu, zawartego w swoim czasie pomiędzy towarzystwem tramwajowem a miastem, jest silnie zaangażowany w przedsiębiorstwie tramwajowem, a jak głos publiczny podaje, piastuje godność syndyka tramwajów...

W jaki sposób ten pan, który jest zwykłym spekulantem, potrafi pogodzić urząd członka rady ze swymi prywatnymi interesami, które silnie kolidują z interesami gminy, to już jest jego własną tajemnicą; ale żeby w radzie nie znalazł się nikt, ktoby mu tu głośno i śmiało powiedział, to dowodzi, iż atmosfera moralna rady stała się od ostatnich wyborów dziwnie mętną...

* * *

Pożar chicagowski rozniecił wielką panikę głównie w.... zarządzie miasta. Pomni przysłowia „mądry Polak po szkodzie“, nasi dygnitarze rzucili się na teatr wyszukując tem pola do nowych niepokojących eksperymentów. Dotąd był teatr zupełnie bezpieczny, teraz stał się pułapką u ludzi. Tak osądzili ojcowie miasta i postanowili ratować swoich wyborców, uczęszczających na przedstawienia. Sądzimy, że jeżeli chodzi o bezpieczeństwo, jest tylko jeden sposób: zamknąć teatr, albo go nawet zburzyć, albo zresztą zmienić go w wielką piwiarnię i wtedy będzie tam przestronno i bezpiecznie. U nas tak zawsze. Nigdy nie ma konsekwentnej wytrwałej czynności, ale każdy hałas wywołuje gwałtowne środki ostrożności, przesadne i dokuczliwe, Tak jak i teraz. Ależ moi panowie! tylko nie traćcie równowagi! tylko nie występujcie w roli tych strażaków, którzy chcąc ratować ludzi z pożaru, zalewają ich na śmierć wodą.

Z TEATRU.

Teatr miejski.

„Światłocienie“, trzy jednoaktówki Adolfa Nowaczyńskiego.

Niezwykły publicystyczny i satyryczny swój talent, sprowadzał p. Nowaczyński niekiedy na manowce pamfletu, a choć może jego nadzwyczajna werwa i brutalna złośliwość, w tym bądź co bądź podrzędnym rodzaju twórczości znajdują najlepsze zastosowanie, to przecież zwrot ku teatrowi, oderwie zapewne młodego autora od pokus łatwych a niebezpiecznych przedrwiwań, w których dotąd celował.

Pierwsza sceniczna próba p. Nowaczyńskiego „Walc barona Molskiego“ była dobrym początkiem, obecnie wystąpił z całą serją jednoaktowych utworów, ogłoszonych niedawno drukiem pod cokolwiek banalnym tytułem „Światłocienie“. Z tego cyklu wystawiono w sobotę trzy sztuki, czwartą „Circe Mankonka“, usunęła niemiłosiernie, ale dość słusznie cenzura.

Początek stanowił „Sobowtór“, dramacik wykrojony z życia prowincjonalnego urzędników sądowych. Autor chciał tam napiętnować karjerowiczowstwo i protekcjonizm, przedstawiając okrutne zgnębienie biednego „wiecznego adjunkta“, który dotknięty niewinnie dyscyplinarką, „zapieczętowany“ na swem skromnem stanowisku, pozbawiony awansu mimo zdolności i pracy, staje się żywą ofiarą fałszywego systemu i urzędowej obłudy. Sztuka ma zakrój melodramatyczny, a najlepszą jej część stanowi charakterystyka środowiska dosadna i złośliwa. Na sobotniem przedstawieniu silne rysy, któremi autor szkicował swoje figury, zatarły się zupełnie. — Wogóle dawno nie widzieliśmy sztuki tak słabo odegranej i wyreżyserowanej, jak „Sobowtór“. Od zupełnego upadku ratował go tylko p. Sosnowski, który przykrą rolę wiecznego adjunkta odegrał z uczuciem i przejęciem.

W dodatku, połowy djalogu nie słychać było na widowni, gdyż, zgodnie zresztą ze wskazówkami autora, znaczna część sztuki rozgrywała się za tylną kulisą, trzeba było jednak, przybliżyć ją znacznie do przodu sceny, na czemby zyskał i końcowy epizod. Tymczasem pojawienie się sobowtóra, który jest widmem i wyrzutem nieszczęsnego Karpińskiego, przez autora bardzo zręcznie pomyślane, przeszło bez wrażenia.

„Prawo Mimikry“ maluje znowu silniej konflikt pomiędzy ojcem, strupieszałym cynistą, w którym zamarły wszystkie szlachetniejsze instynkta, a synem pełnym zapału podniosłości, artystą, rwiącym się do wyżyn sztuki, i natchnienia, a prześladowanym okrutnie przez ojca.

Postać starszego rejenta jest malowana bardzo wyraziście a choć mocno przeczerniona, ma dużo prawdy i plastyki. Ten Łotr wyzuty z uczuć byłby prawie posągowym w swej konsekwentnej niegodziwości, gdyby nie odrobina przesady i pozy, która psuje trafnie utworzoną całość. Za to szlachetny syn jest już trochę szablonowy na tle sentymentalno-płaczliwem, z którem p. Nowaczyńskiemu jest wcale nie do twarzy. Dużo wyrazu ma także brat rejenta profesor Milnek, choć i on należy do zbyt licznej rodziny zapoznanych i nieszczęśliwych duchów, których nam dawniej nie szydziły ani dramat ani powieść.

O ile „Sobowtór“ był źle grany, o tyle „Prawo Mimikry“ wyszło znakomicie“. Na pierwszem miejscu trzeba postawić p. Przybyłowicza, który bardzo szlachetnie, silnie i naturalnie odegrał rolę profesora. Była to kreacja wykończona we wszystkich szczegółach. Równie pochwała należy się p. Jednowskiemu za rejenta. Pani Wolska bardzo dobrze odtworzyła postać zahukanej rejentowej, a panna Arkawin jako córka rejenta z wielką inteligencją zaznaczyła podobieństwo charakteru z nieubłaganym ojcem. Pan Mielewski wreszcie miał dużo uczucia w roli młodego Ludwika.

„Hamlet i Don Jouan“ to trochę karykaturalny epizod z życia sławnego śpiewaka dzielącego życie pomiędzy scenę i kobiety, które mu się zewsząd narzucają, i które traktuje z brutalnością i samolubstwem pięknego samca.

Riccardo Brzozowski śpiewał w Kijowie, gdzie piękna i bogata panna Halinicka zakochała się w nim do tego stopnia, że uciekła z domu rodzicielskiego i została kochanką barytonisty. Przybywszy do Warszawy Riccardo zaznajamia się z Ofelją Orland poetką o nieuspokojonych instynktach, gdyż jej mąż uprawia miłość tylko teoretycznie. Podczas wesołej kolacyjki wyprawionej przez śpiewaka dla obu wielbicielek, wpada stary Halinicki i córkę gwałtem zabiera. Ale nadobna Ofelja rzuca się w objęcia Riccarda, aby go pocieszyć po tej stracie i kurtyna spada w momencie psychologicznym...

Ta satyryczna farsa ma dużo werwy, zjadliwości i cynizmu. Jednakże świat tam przedstawiony, trąci karykaturą.

Don Jouan był grany doskonale. Pan Sobiesław w głównej roli wybornie uwydatnił płytkość, próżność i szablonowość operowego uwodziciela. Wtórowała mu znakomicie pani Mrozowska, jako ekscentryczna Ofelja, szukająca wrażeń w silnych objęciach barytonisty. Wybornym był p. Leszczyński jako deklamujący a pusty Hamlet, pełen pozy i sztuczności. Panna Ordon ma zawsze wdzięk sobie właściwy, ale w roli panny Halinickiej trzeba przedewszystkiem podkreślić wrodzoną dystynkcję i pewność siebie tej chwilowo obałamuconej panny. Wybornie zaokrąglonej całości dopełniali pp. Walewski i Kotarbiński w rolach epizodycznych.

Wrażenie „Światłocieni“ jest zrazu silne, ale szybko przemija. Braknie im głębszego, psychologicznego tła i silnej szczerej prawdy. Obsadzenie sceniczne jest bez zarzutu. Djalog wyborny i zajmujący, a tam, gdzie chęć ironizowania przebija się nawet przez melodramatyczną powłokę, widnieje prawdziwy talent i ciekawa obserwacja, chwytająca przedewszystkiem ludzkie słabości i ujemności...

KRONIKA.

Podziękowanie. Otrzymujemy następujące pismo: Na dochód loterji z dnia 20 grudnia 1903 r. nadeszły jeszcze następujące datki na ręce hr. Wodzickiej: hr. Ant. Potocki 10 k, hr. Edward Starzeński 10 koron, p. Eliza Czarnomska 20 frank. Na ręce p. Aleks. Zborowskiej p. H. Czarnomska 10 kor. Na ręce p. Zarańskiej nadesłano 20 kor.

Loterja na Dom pracy na Kazimierzu z 20 grudnia roku zeszłego przyniosła czystego zysku 5108 k. 21 hal. W imieniu komitetu pań, urządzających loterję, serdecznie dziękuję wszystkim, którzy nadesłaniem datków pieniężnych i fantów, przyczynili się swoją ofiarnością do pomyślnego wyniku loterji. — Dziękuję również zarządowi drukarni „Czasu“ za bezpłatne wydrukowanie odezw i afiszów, oraz orkiestrze 13 pułku za bezinteresowne granie w czasie loterji.

Stanisławowa Wodzicka.

Wiec urzędników. Z inicjatywy Resursy urzędniczej w Krakowie, odbędzie się Wiec ogólny urzędników w celu zorganizowania Stowarzyszenia spożywczego, na wzór istniejącego od wielu lat takiego stowarzyszenia w Wiedniu. Termin zwołania Wiecu jeszcze nie oznaczony.

„Żywa szopka“ w naszym „Sokole“ zgromadziła wczoraj tłum publiczności, która serdecznie się ubawiła niektóremi scenami, jak Twardowskim na kogucie, cyganem z niedźwiedziem i czarownicą na mietlisku. Sceny poważne wypadły wprost artystycznie, jak również końcowy obraz. Całość przedstawienia, ujęta w piękną ramę prawdziwie zbudowanej szopki krakowskiej, robiła wrażenie na widzach. To też uznanie należy się naszemu „Sokołowi“ za trud podjęty w urządzeniu tego sielskiego widowiska.

Pierwszy Bal majstrów krawieckich w Krakowie odbędzie się w sobotę dnia 30 stycznia 1904 r. na dochód podupadłych krawców, ich wdów i sierot, pod protektoratem hr. Stanisławowej Tarnowskiej i wiceprezydenta miasta Krakowa, prof. dra Leo, w salach hotelu Saskiego.

W klubie prawników odbyła się w sobotę zabawa tańcująca, która ściągnęła do pięknego lokalu przy ulicy Florjańskiej kilkadziesiąt osób. Ożywione tańce z 20 par prowadził do 4 tej rano p. Cyfrowicz.

Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej w Krakowie, Rynek gł. 21 (wejście od ulicy Brackiej) urządza w sobotę dnia 16 go stycznia b. r. zabawę z tańcami.

II Koncert ludowy urządzony staraniem Towarzystwa muzycznego odbędzie się w piątek 15 stycznia br. — Obfity i doborowy program, który wykonają panie Baczyńska, Drozdowska, p. Zięba i kwartet smyczkowy pod wodzą profesora konserwatorjum p. Wierzuchowskiego — zainauguruje odczyt p. Stanisława Bursy znanego zaszczytnie z prac swych na polu muzyki choralnej i literatury, o Polskiej pieśni ludowej.

Bilety na koncert sprzedaje codziennie, (od 12 do 1 w południe i od 5 — 6 po południu) kursor Towarzystwa muzycznego przy Placu Szczepańskim.

W Resursie urzędniczej odbyła się w sobotę zabawa taneczna na której zebrało się przeszło 200 osób. — Tańce przy dźwiękach muzyki 56 pułku

prowadził p. Karpiński. — Do mazurka i mazura stawało po 40 par.

Następnie zabawa odbędzie się w sobotę dnia 28 b. m.

Komitet zabawowy już teraz czyni przygotowania do wielkiego balu kostjumowego, który się odbędzie w poniedziałek 1 lutego. Punktem kulminacyjnym będzie „Krakowskie wesele“ w którem wystąpi 40 par krakowianek i krakusów.

Dnia 2 lutego odbędzie się balik kostjumowy dziecięcy — którego początek o godzinie 6 wieczorem.

Dnia 28 b, m. we czwartek odbędzie się walne zgromadzenie członków Resursy. Na porządku dziennym: Sprawozdanie ustępującego wydziału za rok ubiegły; sprawozdanie kasowe; wybór nowego zarządu, komisji rewizyjnej i sądu honorowego na rok 1904; sprawa wynajmu nowego lokalu, oraz wnioski i interpelacje.

Wyścigi konne w Krakowie w roku bieżącym zostaną znacznie przedłużone. gdyż obok wyścigów międzynarodowych i galicyjskiego klubu jazdy panów odbyć się mają także na torze krakowskim wyścigi lwowskie, które — jak dotąd — na torze lwowskim nie cieszyły się spodziewanem powodzeniem.

Fałszywy alarm. Wczoraj o godzinie wpół do 1-szej z południa zaalarmowano straż pożarną wskutek gęstego domu, jaki się wydobywał w domu pod l. 8 przy ulicy Jagiellońskiej. Przybyły II pluton straży, po zrewidowaniu całego budynku, sprawdził, że dym opadał z powodu nagłej zmiany powietrza, a ponieważ nigdzie najmniejszego śladu ognia nie znaleziono, straż powróciła do koszar.

Rabunek. Policja aresztowała niejakiego Józefa Lechowskiego, który w nocy z piątku na sobotę napadł na ulicy ubogiego muzykanta i obrabował go z 60 centów, zarobionych na wyżywienie siebie i rodziny. Lechowski, po przeprowadzeniu śledztwa policyjnego, oddany zostanie sądowi karnemu.

NEKROLOGJA.

Jacek Tyrałła, profesor gimnazjum Sobieskiego, przeżywszy lat 34, zmarł w Krakowie dnia 8 b. m. Pogrzeb odbył się wczoraj po południu przy olbrzymim udziale publiczności i młodzieży gimnazjalnej, która w pochodzie żałobnym wystąpiła z wieńcami i kapelami, grając w pochodzie marsze żałobne. Zwłoki eksportował katecheta gimnazjum Sobieskiego ks. Puszet, któremu towarzyszyli liczni katecheci i duchowieństwo świeckie i klasztorne.

Adam Pisarski, rewident kolei państwowej, ceniony i poważany przez przełożonych i kolegów, przeżywszy lat 50, zmarł po krótkiej chorobie dnia 9 b. m. Pogrzeb odbędzie się dziś po południu.

Powszechne wykłady uniwersyteckie.

(W dni powszednie o 7, w dni świąteczne o 6 wieczór).

W poniedziałek 11 stycznia: Doc. Uniw. dr Adam Bochenek: O sercu, naczyniach krwionośnych i o krążeniu krwi (w zakładzie anatomicznym, ul. Kopernika Nr 12).

We wtorek 12 stycznia: Doc. Uniw. dr Adam Bochenek: O oddechaniu (tamże).

We środę 13 i we czwartek 14 stycznia: Dr Wacław Tokarz: Napoleon I i jego czasy, wykł. III i IV (w szkole wydz. imienia św. Scholastyki, II p. ul. św. Marka).

W piątek 15 i w sobotę 16 stycznia: Dr Lucjan Rydel: Średniowieczne poematy bohaterskie (w sali Nr 62 ul. Kopernika w Collegium novum).

Losy krakowskie.

W sobotę od godziny 9 rano do 4 popołudniu odbywało się ostatnie ciągnienie losów m. Krakowa. Po 60 kor. wygrały następujące numera:

81 250 258 350 393 433 621 749 801 806 860 953 1023 036 108 229 371 380 503 515 569 631 650 659 683 727 846 858 2007 372 572 682 689 702 733 768 976. 980 3007 034 157 162 184 276 513 576 909 987 4014 031 098 111 292 297 602 952 991 5053 085 118 273 300 378 568 570 573 575 606 728 772 835 844 947 6065 117 179 230 478 554 606 607 751 774 871 886 888 906 7007 008 012 127 357 393 430 537 673 771 801 911 925 958 8042 078 083 113 224 238 374 378 380 389 449 475 476 478 546 613 683 803 911 990 9121 177 179 293 769 806 882 942 976 10084 488 502 698 852 963 965.

11.008 117 166 190 274 448 589 602 710 758 854 856 903 954 990 12.057 068 075 117 163 233 306 342 346 366 384 393 506 563 609 612 647 812 858 13.138 153 188 251 310 312 322 454 577 640 802 881 14.042 087 231 246 309 375 393 446 564 565 657 749 795 823 909 966 15 027 033 203 207 275 290 344 390 476 477 528 549 652 720 823 16.086 150 234 305 406 441 490 591 604 610 658 745 799 989 994 17.038 079 242 324 332 386 485 538 809 18.021 028 055 281 619 655 855 871 888 960 984 989 19.097 348 432 568 728 833 20 040 047 139 216 257 282 337 486 612 650 739 803 836 896 910 956 963 972.

21.029 052 059 180 295 329 542 544 552 667 671 887 888 963 22.115 302 411 466 501 641 684 743 755 779 852 867 938 997. 23 213 333 347 389 410 451 576 853 912. 24 029 226 341 497 534 603 618 829 834 892 895 956. 25 252 292 331 439 453 547 609 627 714 758 764 873 903 959 996. 26 020 027 263 278 313 389 506 608 631 803 873 898 981 989. 27.079 166 203 206 272 407 616 687 869 908. 28 086 102 177 252 275 406 408 464 522 526 533 536 617 631 713 724 776 781 821 879 905 956 964. 29 009 073 215 332 471 495 543 630 668 601 715 726 744 975 999. 30 023 032 054 164 204 376 594 602 622 643 752 957 990 998.

31.022 246 378 592 729 770 829 853 886 967 32 124 206 227 232 277 352 486 551 714 724 850 919 33 072 086 160 213 227 311 324 419 466 537 585 607 712 879 925 930 970 977 34 022 032 189 216 252 315 319 476 496 558 570 641 816 868 870 35.054 104 122 303 392 702 770 915 990 36 036 041 088 180 252 391 453 512 527 533 546 567 770 806 860 921 37.029 039 052 066 160 408 415 550 572 576 580 634 664 755 796 801 867 965 973 38 001 075 253 361 391 408 467 530 863 909 925 955 994 39 044 018 021 095 158 288 327 373 546 568 672 721 726 807 40.070 188 264 321 521 588 700 731 838 883. (Dok. n.)

TELEGRAMY.

Rada państwa.

Wiedeń 11 stycznia. (Tel. wł.) „Mont. Pr.“ podaje, że Rada państwa, mająca się zebrać w lutym, zakończy swe obrady już 12 marca.

Wiadomość ta jest jednak bezpodstawną Rada państwa zbierze się rzeczywiście w drugiej połowie lutego, ale czas jej trwania nie da się oznaczyć, gdyż zależy on od przebiegu obrad.

Delegacje.

Wiedeń 11 stycznia. (Tel. wł.) Dzisiaj o 11 godz. przedpołudniem zbiera się na plenarne posiedzenie komisja budżetowa delegacji austrjackiej.

Hr. Gołuchowski chce, aby i delegacja węgierska zebrała się w najbliższym czasie, jednak hr. Tisza oświadczył, że będzie mogła przybyć do Wiednia dopiero w połowie lutego, ze względu na obrady toczące się obecnie w sejmie węgierskim.

Hr. Tisza jest przekonany, że uchwalenie kontyngentu rekruta przez sejm węgierski nastąpi przed 20-tym stycznia.

Cesarz na polowaniu.

Wiedeń 10 stycznia. Cesarz udał się wczoraj po południu na polowanie do Mürssteg w towarzystwie ks. Leopolda i Jerzego bawarskiego, oraz arc. Franciszka Salwatora, dokąd przybył wieczorem z ostatniej stacji kolejowej sankami. Cesarz powraca tu we środę wiecz.

Hr. Tisza na audjencji.

Wiedeń 11 stycznia. Węg. prezydent gab. hr. Tisza był o godz. 10-tej przed południem u cesarza na jednogodzinnej specjalnej audjencji, poczem po południu odjechał z powrotem do Budapesztu.

Pogłoski o dymisji hr. Tiszy.

Wiedeń 11 stycznia. (Tel. wł.). „Sonn u. Mon. Ztg.“ przynosi dzisiaj rano sensacyjną wiadomość, że dymisja hr. Tiszy niebawem nastąpi. Na wczorajszem posłuchaniu, które hr. Tisza miał u monarchy dano mu do zrozumienia, że nie posiada już zaufania korony, która sądziła, iż zdoła on zwalczyć obstrukcję i przeprowadzić uchwalenie kontyngentu rekruta. Zamiast tego wypowiada hr. Tisza mowy, które na opozycję nie wywierają skutku.

Jako dowód swoich przypuszczeń przytacza „Sonn u. Mont. Ztg.“ głosy inspirowanych przez hr. Tiszę dzienników, które przyznają, że węgierski prezydent ministrów ma w otoczeniu cesarza nieprzyjaciół, dążących do jego obalenia. Wszelkie jednak wiadomości o prawdopodobieństwie dymisji są nieprawdziwe. Hr. Tisza posiada zupełne zaufanie monarchy, a jego wczorajszy pobyt w Wiedniu stoi w związku z sesją delegacyjną.

Z dalekiego Wschodu.

Pekin 11 stycznia. Biuro Reutera donosi: Szef Rady stanu, ks. Czing zawiadomił tutejszego posła japońskiego, że Chiny na wypadek wojny japońsko-rosyjskiej zachowają neutralność.

Według informacji z źródła dyplomatycznego, odpowiedź Rosji na notę japońską jest trzymaną w tonie pojednawczym, ale treść jej nie zadowolniła Japonji, która celem uzupełnienia przygotowań i odroczenia wybuchu wojny, będzie dalej prowadziła rokowania. Jeszcze ciągle zachodzi obawa wybuchu wojny jeszcze przed wiosną.

Port Artur 11 stycznia. Ros. aj. tel. donosi: Stany Zjednoczone i Japonja obstają przy natychmiastowej ratyfikacji układów, zawartych z Chinami. Chińskie ministerstwo spraw zagr. ze względu na prawdopodobieństwo, że Rosja nie zgodzi się na otwarcie portów mandżurskich, znajduje się w bardzo ciężkiem położeniu.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.
Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bielsku.

V.

Ogarnia wszystkich uczucie przykrego przymusu.

Odradzałem Sinclair'owi dalsze tej nocy dochodzenie sprawy. Widziałem, że w stanie jego wyczerpania, każdy nowy wysiłek byłby trudny. Rozstaliśmy się tedy, wyszedłszy z biblioteki i powróciłem do swego pokoju. Dziwnem to się wydawać może, ale zasnąłem zaraz snem twardym; zbudziło mnie dopiero stukanie do drzwi zrana. Otworzywszy je, ujrzałem Sinclair'a ze wzrokiem błędnym, włosami w nieładzie. Gdy wchodził, rozległ się w sieni odgłos dzwonka, zwołującego na śniadanie.

— Nie spałem wcale — rzekł — chodziłem całą noc po sieni, rozmyślając, jak rzecz całą upozoruję przed Armstrong'ami. Nie wspomniałem przed nikim o szczegółach, mających dla mnie znaczenie tak strasznej tragedyi. Czy sądzisz, że źle postąpiłem? Skoro jednak chciałem osłonić Dorotę, czemuż nie miałbym uczynić tego samego dla Albertyny?

— Wypadało ci to uczynić — odparłem, oczy nasze jednak unikały się wzajemnie.

— Nie zejdę na śniadanie — oświadczył. — Napisałem parę słów do panny Murray; zechcesz oddać jej mój bilecik?

Wyciągnąłem w odpowiedzi rękę, złożył w nią list niezapieczętowany.

— Postaraj się, aby odczytała go, będąc samą. Poproszę, iżby mi oddano na wyłączny użytek mały bawialny pokój; przyprowadź ją tam, jeśli zechce na to przystać. Znajdzie we mnie nietylko sędziego, ale i przyjaciela.

Próbowałem wyrazić mu moje współczucie, natchnąć wyrozumieniem i ufnością. Biedny chłopiec nie był w stanie rozumieć, co do niego mówię; oddalił się śpiesznie. Usiłowałem przybrać pozór zwykłego światowca, o ile dozwalały na to przebyte w ciągu nocy wrażenia, i zeszedłem na dół dla wywiązania się z danej przyjacielowi obietnicy.

Zastałem sień pełną ludzi. Wieść o smutnym wypadku rozeszła się lotem ptaka: sąsiedzi Armstrongów pośpieszyli bez-

zwłocznie dla złożenia kondolencyi i dowiedzenia się bliższych szczegółów.

Pośród nich stała pani domu; gospodarza nie było; ze śniadaniem czekano na niego.

Nie życząc sobie być pochwycony w wir konwencyonalnych frazesów, stanąłem w pobliżu schodów, czekając, aż ujrzę kogo, ktoby mógł udzielić mi wiadomości o panie Murray: nie przypuszczałem, iżby ona narażać się chciała na ciekawe wejrzenia obcych ludzi i nie miałem również nadziei spotkać Doroty przy śniadaniu.

Nie wątpiłem tylko, że panna Lane ukaże się niebawem, od niej jako od życzliwej mi osoby, rachowałem, że otrzymam potrzebne objaśnienia.

Uwaga moja jednak niespodzianie w inną stronę zwróconą została: weszło trzech mężczyzn w towarzystwie pana Armstronga, poważniej jeszcze usposobionego, niż zwykle.

W dwóch przybyłych poznałem lekarzy, przywołanych w nocy, których widziałem odjeżdżających po godzinie czwartej. Trzeci ich towarzysz wyglądał również na doktora. Dlaczego zjawili się tak wcześnie? Czyżby wyszło na jaw co nowego?

Pytanie to zdawało się i drugich niepokoić; wzrok ciekawych śledził za panem Armstrongiem, odprowadzającym lekarzy do drzwi frontowych, poczem uprzejmy gospodarz unikał z trudem natrętnych pytań i objawów niepożądanej serdeczności. Obdarzał wszystkich grzecznem słowem, uśmiechem, ale dążąc do swego pokoju, nie wyrzekł ani jednego słowa, mogącego zaspokoić ciekawość ludzką.

Zbudziło to we mnie obawę: coś zajść musiało, coby Sinclair wiedzieć powinien i co miało związek z tajemnymi wypadkami zeszłej nocy.

Zaniepokojony, nie odwracałem oczu od drzwi, za któremi zniknął pan Armstrong, naraz drzwi te otworzyły się i ujrzałem gospodarza z telegramem świeżo napisanym w ręku. Gdy oddawał go jednemu ze służących, rozległ się drugi odgłos dzwonka, wzywającego na śniadanie. Przycichł zaraz szmer głosów: młodzi i starzy śpieszyli do sali jadalnej, pan Armstrong

zbiorę dokładniejszych informacyj; co mam jednak robić? Nie mogę przypuszczać, iżby panna Camerden...

Nie byłem w stanie powstrzymać objawu oburzenia, słysząc po raz drugi nazwisko jej zespolone z tak krzywdzącem podejrzeniem, a wiedząc, że jest niewinną.

— Czyż on mówił, że to panna Camerden? — wybuchnąłem, podczas gdy Armstrong ze zdziwieniem na mnie spoglądał. — Skądże mógłby znać pannę Dorotę?

— Opis jego odpowiadał jej powierzchowności; wiemy wszyscy zresztą, że w owej chwili ona była na korytarzu. Nigdy nie znajdywałem się w tak kłopotliwem położeniu. Poślę po Sinclair'a, jego bliżej niż kogokolwiek obchodzą krewni Albertyny; albo lepiej może wezwać samą pannę Camerden: wytłómaczy nam, jakim sposobem doszła do posiadania skrzyneczki.

Zapanowałem nad instynktownem pragnieniem oczyszczenia Doroty bezzwłocznie z zarzutu i odpowiedziałem z oględnością, jakiej sądziłem, że Sinclair wymagałby odemnie.

— Sprawa to ważna, nader zawikłana, myślę jednak, że pan nie potrzebujesz niepokoić nią panny Camerden. Rzecz wyjaśni się wkrótce bez obrażania uczuć tej młodej osoby, badanej w tak delikatnej materyi. Zraniłbyś ją pan boleśnie, a rana nie dałaby się łatwo zagoić. Później, jeśli sama nie przemówi, będzie pan miał prawo pytać.

— Nie zeszła dziś na śniadanie.

— Nic dziwnego.

— Gdybym choć mógł zasięgnąć rady mojej żony! Jest, niestety, zbyt drażliwego temperamentu. Radbym ukrywać przed nią o ile można najdłużej, tę smutną komplikacyę wypadków. Sądzisz, że panna Camerden dobrowolnie udzieli wyjaśnień przed powrotem lekarzy i przybyciem doktora pani Lansing, po którego telegrafowałem?

— Pewny jestem, że przed upływem trzech godzin dowiesz się pan prawdy. Zechciej tylko zostawić mi kierunek całej sprawy. Przyrzekam, iż gdybym nie zdołał wyjaśnić położe-

W odpowiedzi nacisnął sprężynę i otworzyło się wieczko.

— Jak pani widzi, teraz pustą nie jest — a przyciszając głos, dodał: — tylko próżnym jest flakonik.

Załamała ręce i patrzała na niego z wyrazem szlachetnej godności, nadającej odmienne znaczenie prowadzonej rozmowie.

— Gdzie znaleziono flakonik? — zagadnęła.

Udzielenie odpowiedzi przyczyniało mu kłopotu; rzeczby można, że zamienili role. Gdy przemówił, odzywał się tonem mniej pewnym.

— W łóżku starej lady. Ja go tam dojrzałem. Jeden tylko Worthington był obecny, nikt inny nie wie o tych szczegółach. Chciałem dać pani możność usprawiedliwienia się; sądzę, że zdołasz wyjaśnić okoliczności, towarzyszące smutnemu wypadkowi, lubo nie pojmuję, jak dokazać tego potrafisz. Maleńką skrzyneczkę ukrywałaś we włosach do wczesnego wieczoru; widziałem, że nawet podczas tańca sięgałaś do niej ręką.

Nie zmieniła ani na jotę wyrazu dumnej, pełnej godności postawy.

— Masz pan słuszność — rzekła — schowałam we włosy skrzyneczkę, gdy tylko zabrałam ją z biblioteki; nie miałam lepszego dla niej ukrycia. Przyznaję — dodała, widząc rumieńce, występujące na twarz Sinclair'a — że zabrałam to cacko w nieuczciwym celu przywłaszczenia go sobie. Oczarowana byłam pięknością wyrobu świecidełka, nie mogąc zapanować nad uczuciem pożądliwości, zdjęłam je z półki i ukryłam we włosach.

Spoglądał ze zdumieniem na nią, tak wielką sprzeczność stanowiło jej wyznanie z wyrazem twarzy i tonem mowy.

— Z flakonikiem jednak nic nie miałam do czynienia — mówiła, a to oświadczenie zmieniło jej zachowanie, nawet dźwięk głosu, jakby z wyrzeczeniem tych słów kilku zadość czyniła poczuciu godności osobistej i miała już prawo uwzględniać cierpienia drugich. — Wyjaśnić rzecz panu muszę stanowczo. Sądziłam, że flakonik znajdował się wewnątrz skrzyneczki, gdym wszelakoż w moim pokoju mogła jej się przypatrzyć, znalazłam ją, podobnie jak pan to później spostrzegłeś, pustą. Ktoś wyjął ów flakonik, zanim go się dotknęłam.

Sinclair, jak człowiek walczący w obronie własnego życia, rzucił rozpaczliwe wejrzenie na oranżeryę i zapytał:

— Czemu w chwili wypadku byłaś pani nieobecną w swoim pokoju? Dlaczego musiano czynić za tobą poszukiwania? Kto wydał ów krzyk przeraźliwy?

Spoglądała na niego ze smutkiem, ale i z powagą, nakazującą szacunek.

— Nie byłam wtedy w pokoju, bo zaniepokoiło mnie zrobione odkrycie. Chciałam wrócić do biblioteki i położyć skrzyneczkę na półkę. Schodziłam właśnie ze schodów od tyłu, gdy rozległ się ten krzyk straszliwy. Nie wiem, z czyich ust pochodził, zapewnić mogę tylko, że nie z moich.

Chwytając się promyka nadziei, Sinclair ujął ją za rękę.

— To ciotka pani krzyknęła — rzekł — ona wyjęła flakonik ze skrzyneczki, poniosła go do ust i przeraziła się, poznawszy niebezpieczeństwo. Wszak takie przypuszczenie najprawdopodobniejsze. Czego spoglądasz pani na mnie niedowierzającym wzrokiem?

— Bo nie powinieneś pan dawać wiary kłamstwu, bo jesteś zbyt dobrym człowiekiem, iżbyś miał paść ofiarą złudzeń. Młodsze, niżeli ciotki usta wydały ów krzyk przeraźliwy. Radzę ci, panie Sinclair, niechaj ślub twój nie odbywa się jutro.

* * *

Przez ten czas przechadzałem się po sieni w śmiertelnym niepokoju. Kilkanaście razy zawracałem do drzwi biblioteki, gdy naraz rozwarły się z trzaskiem i wybiegła z nich Dorota. Ujrzawszy mnie, drgnęła, ale była widocznie wdzięczna za to, że jej nie próbowałem zatrzymać i śpiesznie weszła na schody. Ja podążyłem do biblioteki.

Zastałem Sinclair'a siedzącego przy stole, z głową ukrytą w dłoniach. Od pierwszej chwili zrozumiałem, że zaszła zmiana w położeniu naszem; nie myśląc o sobie, zbliżyłem się do mego przyjaciela i położyłem mu rękę na ramieniu.

Drgnął, ale nie podniósł oczu: przemówił dopiero po dłuższej chwili.

— Byłem szaleńcem! — zawołał. — Widziałem jej przerażenie, gdy objawiłem chęć rozmówienia się z Dorotą. Musiały zostać ślady po palcach, z taką siłą chwyciła wówczas moje ramię. Poczytywałem za nerwowość kobiecą to, w czem mniej zaślepione oczy byłyby wykryły występek. Radbym, iżby sam zapach próżnego flakonika mógł zabić mężczyznę. Nie potrzebowałbym zbliżyć się do drzwi oranżeryi i spojrzeć jej raz jeszcze w oczy.

Ujął w rękę złowrogą skrzyneczkę; obracał nią w sposób, raniący dotkliwie moje serce. Wyjąłem mu z dłoni delikatnie zdradzieckie cacko i z możliwym spokojem zapytałem:

— Co znaczy ta nowa tajemnica? Dlaczego przypisujesz Albertynie winę, o którą przed półgodziną obwinialiśmy wyłącznie Dorotę?

— Bo Dorota zabrała tylko pustą skrzyneczkę, a flakonik! — nieszczęsny flakonik wyjęty był poprzednio. Pamiętasz, Walterze, białą jedwabną suknię, dojrzaną przez pana Armstronga w tym pokoju? Nie mogą mówić dłużej: obowiązek każe mi tam śpieszyć.

Wskazywał na drzwi oranżeryi. Cofnąłem się, pytając, czy mam stanąć znowu na straży w sieni.

— Rzecz to dla mnie obojętna — rzekł, potrząsając głową. — Wszystko jest mi już obojętne. Sądzę nawet, że lepiej, iżbyś tu pozostał.

Przystąpił z niemałym wysiłkiem do drzwi oranżeryi. Odwróciłem głowę; serce moje przepełnione było współczuciem dla mego przyjaciela. Zrazu jednak pobiegłem za nim, usłyszawszy Sinclair'a wołającego głosem drżącym:

— Odeszła! Zapomniałem, że drugie drzwi prowadzą do sieni!

Wszedłszy do oranżeryi, zastałem biedaka wśród drzew palmowych, z oczyma utkwionemi w pusty fotel i rozrzucone dokoła liście z oskubanych róż. Nie zapomnę nigdy wyrazu jego twarzy wówczas: w półzmroku tam panującym widocznem było silne, głębokie wzruszenie nieszczęśliwego człowieka.

jednak nie poszedł za nimi. Ujrzałem go wchodzącego do pokoju, w którym, jak już wspominałem, były złożone podarki ślubne.

Odeszła mnie ochota do jedzenia; krążyłem po sieni, nie zważając na tych, którzy obok mnie przechodzili i nie zatrzymując nawet małej panny Lane, gdy się wreszcie pojawiła.

Nie zadowolony z tego, że straciłem sposobność spełnienia danej obietnicy, zastanawiałem się, czy nie należy podążyć za całem towarzystwem do sali jadalnej, kiedy spostrzegłem zbliżającego się pana Armstronga, jakby upatrującego kogoś. Spotkawszy mnie, zatrzymał się i zapytał, czy nie widziałem Sinclair'a.

Odpowiedziałem, że Sinclair, wzruszony wypadkiem minionej nocy, zejść nie miał zamiaru, że mówił, iż zamknie się dla wypoczynku w swoim pokoju.

— Przykro mi — rzekł — ale muszę bezzwłocznie zadać mu pytanie, tyczące się małej skrzyneczki włoskiego wyrobu, którą wczoraj po obiedzie pokazywał paniom. Zapewne pan o tem słyszałeś?

Rad byłem, że to pytanie zadał mnie, nie Sinclair'owi. Mogłem prędzej zachować pozór spokoju wobec dowodu, że straszna tajemnica nietylko nam, jak sądziliśmy, była wiadomą.

— Wspominał mi o tem Sinclair — odpowiedziałem z udaną obojętnością — mogę więc na pytanie pana odpowiedzieć równie dobrze, jak i mój przyjaciel.

Pan Armstrong zawahał się, obejrzał dokoła i pociągnął mnie do swego pokoju.

— Znajduję się w przykrem bardzo położeniu — rzekł — dziwne, niespodziewane objawy zaszły na ciele pani Lansing w ciągu tych paru godzin; lekarze wyprowadzają z nich jaknajgorsze wnioski. Potrzebuję dowiedzieć się od Sinclair'a, czy ma w ręku ową skrzyneczkę, zawierającą pono flakonik z gwałtowną trucizną, czy też przeszła w posiadanie kogo innego, skoro pokazywał ją kilku paniom w bibliotece.

Tajenie prawdy było niemożliwe: w interesie Sinclair'a jeśli nie we własnym, postanowiłem być o tyle szczerym względem pana Armstronga, o ile położenie nasze na to dozwalało. Chciałem naturalnie oszczędzić Albertynie przedwczesnych podejrzeń.

— Wyjaśnić to mogę również — oświadczyłem. — Podczas gdy Sinclair pokazywał damom kosztowne cacko, pani Armstrong weszła do biblioteki i wezwała wszystkich do salonu. Nie przypuszczając żadnego niebezpieczeństwa, Sinclair położył skrzyneczkę na jednej z półek wysoko. Gdy powrócił, już jej tam nie zastał.

Poważna zawsze twarz gospodarza zasępiła się; usiadł w fotelu przed biurkiem.

— Fakt zdumiewający! — zawołał — niewiadomo, jak smutne następstwa wyniknąć z tego mogą dla nas i dla tej nieszczęśliwej dziewczyny...

— Dla nieszczęśliwej dziewczyny — powtórzyłem.

Rzucił na mnie smętne wejrzenie.

— Boleśnie mi wyznać, panie Worthington, ale coś niezwykłego, niepojętego zaszło tu dzisiejszej nocy; dowiedziałem się o wszystkiem przed chwilą, a wiadomość ta, gdybym ją był wcześniej otrzymał, mogła lekarzom ułatwić wykrycie prawdy. Pan wiesz, że detektyw znajduje się w naszym domu. Wezwałem go dla pilnowania cennych podarków.

Kiwnąłem potakująco głową; nie miałem odwagi przemówić.

— Ten człowiek objaśnił mnie — ciągnął dalej pan Armstrong — że na kilka mint przed całem zajściem nocnem usłyszał odgłos kroków na tylnych schodach. Chcąc przekonać się, co ta osoba zamierza robić o tak późnej godzinie, przykręcił gaz, podszedł do drzwi i nadsłuchiwał. Przekonawszy się, że to lekki chód kobiety, uchylił drzwi, wyjrzał. Młoda panna stała opodal w świetle padających na nią promieni księżyca. Wpatrywała się w jakiś przedmiot połyskujący na jej dłoni, ale po chwili, jakby przestraszona dosłyszanym szelestem, wbiegła śpiesznie na schody. Zaraz potem rozległ się ów straszliwy krzyk. Pytam, panie Worthington, jak mam postąpić wobec tego zeznania? Radziłem tamtemu człowiekowi, żeby milczał, póki nie